

dodatek • ABC • niedzielnny

Stan sław Miłaszewski

Mój pamiętnik poetycki

Wprowadzić garstkę ludzi do swego życia przez dziecinny pokój, zaprzyjaźnić ich ze sobą na niewidzialnego dzięki wspólnocie odczuwać, dowiedzieć, że kto mówi o człowieku — ten mówi o człowieczeństwie, oto była pobudka do zapisania tych wspomnień.

Coś z nich może się przyda również i obserwatorom zawsze ciekawego procesu, jak to z życia powstaje literatura.

Na długo przed posiedzeniem wiedzy abecadła już układałem wiersze. Oczywiście osobliwego pokroju. Osluchany byłem od niemowlęctwa z mową rytmiczną, bo matka moja lubiła i umiała deklamować wiersze. Bezwiednie uczyłem się ich i ja na pamięć, a luki w strofach latałem bezsensownymi dźwiękami, byle nie wypaść z rytmu. Nie używałem jednak w tym celu słów jednokrotowych, jak licznym w śpiewie — „la la la” — przeciwnie, gromadziłem sylaby ostro brzmiące przy miękkiach i lubowałem się bezwiednie w ich kontraście.

Wierszyk o Bolesławie Krzywym, znany mi z głośnego czytania, a zaczynający się od słów: Królewskie pachole ma oczy

sokole
I śmiało spogląda przed siebie
pobudzał mnie do przerabiania go na mnóstwo nieartykułowanych, to ostrych, to łagodnych dźwięków, karnie poddanych rytmowi oryginalnemu. Było to osobliwe mruczanie, którym deklamowałem się, zwłaszcza w łóżku przed zaśnięciem.

Wzbudziło to kilka razy zainteresowanie starszych, którym bezcennie zaprodukowałem (z łóżka z niebieską siatką —) swoją dziecinną **botokudzką** balladę. Mogłem ją bowiem (jak i parę innych z odmiennym kluczem rytmicznym) powtarzać, a raczej na nowo improwizować.

Byłem wówczas tak mały, że jeszcze nie umiałem się wstydić. Wstydlivość przyszła później, a jak — opowiem w swoim czasie.

Te pierwsze chyba na świecie dźwiękowiec wygłaszałem z nieopisanym wzruszeniem. Skłonność do wzruszeń, dobrą pamięć i bardzo wrażliwe powonienie miałem od lat najwcześniejszych.

Dzieciństwo swoje pokochołem bardzo, kiedy minęło — i tęskniłem do niego, jak do utraconego szczęścia. Zajmowała się mną wówczas matka i starsza siostra przyrodna, Helena, do której byłem przywiązany prawie tak, jak do matki. Bardzo wczesne wspomnienie pokazuje mi mnie samego na fotelu dziecinny z opuszczonym stołkiem, w który tłukę rytmicznie pięściami, krzyżując: — Hel-wi-dor po-mi-dor!

Była to moja zemsta nad siostrą, a zarazem pierwszy mój czyn rytmotwórczy, już artykułowany. Natchnienie do tego poematu zstąpiło na mnie z fantazji, bo porównana z pomidorem Hela, panna dorastająca i wybitnie ładna, nie miała nic z tego pękatego owocu: była wysoka, z jasnym, długim warkoczem, który mi służył za lejce podczas zabawy w konie.

Wkrótce potem cały poemat dramatyczny ułożył mi się na wsi w taki oto niespodziewany sposób:

Pojechaliśmy jak co roku, latem na wieś. Pamiętam, że mnie po przyjeździe umyło „ekstra”, po czym sam wymknąłem się na dziedziniec, gdzie była sadzawka dla kaczków, a przy jej brzegu — o krok — kamień jak wyspa. Stojąc na nim baba coś w sadzawce grała.

Gdy odeszła, zająłem jej miejsce na kamieniu.

I nagle oblać mnie śmiertelny strach: zaponniałem, jak mam wrócić na brzeg. Przede mną woda, patrzę na prawo — też woda, na lewo — znowu woda... Żeby się

w tył obrócić, zabrakło mi pomysłów... Z tego wnosię, że byłem naprawdę bardzo jeszcze smarkaty.

Poczułem wówczas, że jestem zgubiony bez ratunku, że lada chwila nogi do reszty mi osłabną, że wpadnę w wodę utoną...

I wtedy — proszę mi wierzyć, że byłem jeszcze za mały na kabotynerię świadomą — zacząłem zębać się z życiem, rozrzucając sam sobą do leż, żałując siebie bez grzeczności, lecz i — zrezygnowałem. Nie krzyżowałem, to pamiętam na pewno, że bez słów żegnałem się z ogrodem, z dniem jasnym, poziomkami obiecany na podwieczorek, mamą z Helą i z całym rodzeństwem...

To uczucie rodzinne ocaliło mnie: z ostatnią strofą pożegnania poematu chciałem spojrzeć na dom, gdzie tyłu ukochanych pozostało — i w tym celu obejrzałem się nareszcie na siebie...

O, tej radości nie zapomnę po prawdziwy grób: tuż za mną — o krok — był brzeg, a za brzegiem — ogród! Byłem ocalony. Lecz jak wróciłem do domu i co się działo później, już nie a nie nie pamiętam.

Dalszym etapem rozwoju mojej twórczości w owych „przedhistorycznych czasach” była inscenizacja samobójstwa.

Zaczęło się od awantury przy obiedzie: Siostra moja Hela na jakąś uwagę matki odpowiedziała: „Ach, mama jest pocieszna!” Kazano jej za to wstać od stołu. Wybiegła z placem. W te pędy poleciałem za nią i znalazłem tkającą, nieczułą nawet na moje pocieszenia. Wróciłem więc galopem do jadalni i zażądałem natychmiastowego cofnięcia kary. Z niezwykłą wobec mnie stanowczością matka kazała mi być cicho i siedzieć spokojnie, grożąc w przeciwnym razie odprawieniem i mnie od stołu.

Natychmiast odszedłem sam, już bez słowa, z jasnym postanowieniem: zakończyć życie w oczach całej obiadującej rodziny.

W tym celu położyłem się na podłodze tuż za progiem sąsiedniego pokoju, ażeby mnie dobrze widziano. Obrabiał śmierć najprostszą: przez wstrzymanie oddechu.

Wyciągnięty na ziemi, w pozycji jak najbardziej trupiej, starałem się istotnie nie oddychać, zerkając, jakie wrażenie wywołało na matce. Niestety rozmawiała dalej, nie zwracając na mnie żadnej uwagi. Po chwili przekonałem się ze zgrozą, że pomimo najszczerszej chęci natychmiastowego skonanja, muszę choć raz wciągnąć powietrze. Uczyniłem to szybko i dyskretnie i starałem się ten konieczny zabieg powtarzać jak najrzadziej. Za to coraz częściej zerkalem w stronę starszych, których obojętność wobec mnie była wprost niepojęta.

Stwierdziwszy, że ani umrzeć, ani nikogo swoim zgonem wzruszyć nie zdołam, wróciłem do regularnego oddechu. Nieruchoma pozycja na twartych deskach zaczęła mi nie na żarty dolegać. Sytuacja stawała się bez wyjścia. Mógłbym tak leżeć w nieskończoność, skazany na obojętność najbliższych... Ta obojętność, którą byłem zaskoczony, wywołał błyskawiczny domysł: „Chyba nie jestem dzieckiem mojej matki, ale jakimś podrzutkiem!” Podejrzanie stworzyło nową sytuację: „Skoro jestem podrzutkiem, muszę być cichy i pokorny, zachowywać się nieomal jak żebrak w obcym domu”.

Wstałem i z całą pokorą zbliżywszy się do stołu, oświadczyłem matce głosem nabrzmiałym od smutku, że już teraz wiem wszystko. Moje miejsce jest w kuchni. Jako podrzutek, powinienem zawsze czuć wdzięczność i

niczego się nie dopominać.

Widzę do dziś dnia okragłe ze zdumienia oczy matki, gdy zaczęła jej mówić „pani” oraz dopraszać się przebaczenia z manifestacyjnym uniżeniem.

Oczywiście, wszystko zostało jakoś załagodzone, a ja do tej chwili pamiętam wyśmienity smak jajek na miękko (w ulubionych przeze mnie kieliszkach malowanych w kurki i kogutki), które przyniesiono dla mnie i dla Heli jako rekompensatę za obiad.

Zdolności do inscenizacji rozwijały się we mnie szybko. Rozszerzyłem nawet pole działania poza dom. Znalazszy się raz z matką w kwaciarni, snulem się tam po kątach, czekając, aż mama załatwi swoje sprawy. Nagle zauważyłem śliczny czerwony goździk. Leżał z odłamną łodygą pod oknem. Strasznie mi się zachciało mieć ten kwiatek na własność. To pragnienie musiało się uwidocznić na mojej twarzy, gdyż przechodzący przez sklep subiekt nagle kiwnął mi głową porozumiewaw-

czo. Momentalnie schyliłem się i schowałem kwiat do kieszeni płaszczyka.

Przez całą drogę powrotną z Marszałkowskiej na Chmielną zajęty byłem obmyśleniem historii, która by usprawiedliwiła posiadanie goździka. Znalazłszy się w domu, pobiegłem wprost do salonu i zatknąłem moją zdobycz w doniczkę z fikusem. Po czym, symulując zdumienie, zacząłem wołać radośnie:

— Chodźcie! Chodźcie! Śliczny kwiatek tu wyrósł!

Na moje okrzyki wszyscy się zbiegli. Biegalem w koło doniczki zgrzywając się, jak dziś to widzę, całkiem po aktorsku i powtarzając na różne tony:

— O, jaki śliczny kwiatek wyrósł!

Cud ten wywołał nieoczekiwaną dla mnie reakcję. Kilka szybko po sobie następujących fak-

tych. Cud ten wywołał nieoczekiwaną dla mnie reakcję. Kilka szybko po sobie następujących faktów. Cud ten wywołał nieoczekiwaną dla mnie reakcję. Kilka szybko po sobie następujących faktów.

*) Fragment z książki Wandy i Stanisława Miłaszewskich pt. „Wspomnienia”, która niebawem wyjdzie z druku.

Wiedzieć. Oczywiście na tym tylko miejscu. Autor bowiem podjął się innego zadania, aniżeli opisywanie zwiedzanych krajów i miast w sposób, przyjęty w tego rodzaju opisach. Ze szczególnym uwzględnieniem strony krajoznawczej, fauny i flory, wody i nieba.

Marsylia, jak wiemy, jest miastem wielkim, kosmopolitycznym, drugim co do wielkości we Francji.

Mniej może wiemy, że między nią, a Paryżem trwa od wieków, cicha, zażarta rywalizacja. O co? O wszystko.

Notre Dame w Paryżu?

Proszę, jest i u nas w Marsylii.

Wieża Eiffla?

A jakże, — niech spróbuje stanąć w Marsylii. Mistral tutejszy, to nie wietrzyk paryski: zdmuchnąłby ją i zwinął, niby dziecinna zabawkę. Ho, ho!

Albo takie rybołówstwo.

W Paryżu — proszę państwa — idzie się nad Sekwanę i wyciąga się na wędkę kielbie i karaski.

U nas w Marsylii, zanurza się poprostu jedną ręką beret, druga zaś — odgarnia się tylko wodę. Reszta — to już same ryby. I to jakie ryby!

Bardzo tu są popularne kolorowe pocztówki, przedstawiające w mniejszym, lub większym stopniu, nieszkodliwą obydwo stronom rywalizację.

W ogóle pogody ducha możemy mieszkankom Marsylii śmiało pozazdrościć.

Nawet taki policjant, kierujący ruchem na ulicy Canebiere (najruchliwszej w Marsylii) rozśmieszony i ruchliwy, czynność swoją spełnia z humorem, na jakiego stać w tej sytuacji. Pateczka miga w esach — floresach, robi młynki poziome i pionowe, filuternie, a zachęcająco wskazując kierunek. Kiedy indziej, palec przy nosie grożący, ostrzega przyjaźnie, że noga za późno dotknęła hamulca.

Podpatrzyć Marsylię można jednak nie na Canebiere i promenade de la Corniche.

Za wiele tu różnorodnego gwaru i różnokolorowej skóry ludzkiej.

Wiedzieć. Oczywiście na tym tylko miejscu. Autor bowiem podjął się innego zadania, aniżeli opisywanie zwiedzanych krajów i miast w sposób, przyjęty w tego rodzaju opisach. Ze szczególnym uwzględnieniem strony krajoznawczej, fauny i flory, wody i nieba.

Marsylia, jak wiemy, jest miastem wielkim, kosmopolitycznym, drugim co do wielkości we Francji.

Mniej może wiemy, że między nią, a Paryżem trwa od wieków, cicha, zażarta rywalizacja. O co? O wszystko.

Notre Dame w Paryżu?

Proszę, jest i u nas w Marsylii.

Wieża Eiffla?

A jakże, — niech spróbuje stanąć w Marsylii. Mistral tutejszy, to nie wietrzyk paryski: zdmuchnąłby ją i zwinął, niby dziecinna zabawkę. Ho, ho!

Albo takie rybołówstwo.

W Paryżu — proszę państwa — idzie się nad Sekwanę i wyciąga się na wędkę kielbie i karaski.

U nas w Marsylii, zanurza się poprostu jedną ręką beret, druga zaś — odgarnia się tylko wodę. Reszta — to już same ryby. I to jakie ryby!

Bardzo tu są popularne kolorowe pocztówki, przedstawiające w mniejszym, lub większym stopniu, nieszkodliwą obydwo stronom rywalizację.

W ogóle pogody ducha możemy mieszkankom Marsylii śmiało pozazdrościć.

Nawet taki policjant, kierujący ruchem na ulicy Canebiere (najruchliwszej w Marsylii) rozśmieszony i ruchliwy, czynność swoją spełnia z humorem, na jakiego stać w tej sytuacji. Pateczka miga w esach — floresach, robi młynki poziome i pionowe, filuternie, a zachęcająco wskazując kierunek. Kiedy indziej, palec przy nosie grożący, ostrzega przyjaźnie, że noga za późno dotknęła hamulca.

Podpatrzyć Marsylię można jednak nie na Canebiere i promenade de la Corniche.

Za wiele tu różnorodnego gwaru i różnokolorowej skóry ludzkiej.

Wiedzieć. Oczywiście na tym tylko miejscu. Autor bowiem podjął się innego zadania, aniżeli opisywanie zwiedzanych krajów i miast w sposób, przyjęty w tego rodzaju opisach. Ze szczególnym uwzględnieniem strony krajoznawczej, fauny i flory, wody i nieba.

Marsylia, jak wiemy, jest miastem wielkim, kosmopolitycznym, drugim co do wielkości we Francji.

Mniej może wiemy, że między nią, a Paryżem trwa od wieków, cicha, zażarta rywalizacja. O co? O wszystko.

Notre Dame w Paryżu?

Proszę, jest i u nas w Marsylii.

Wieża Eiffla?

A jakże, — niech spróbuje stanąć w Marsylii. Mistral tutejszy, to nie wietrzyk paryski: zdmuchnąłby ją i zwinął, niby dziecinna zabawkę. Ho, ho!

Albo takie rybołówstwo.

W Paryżu — proszę państwa — idzie się nad Sekwanę i wyciąga się na wędkę kielbie i karaski.

U nas w Marsylii, zanurza się poprostu jedną ręką beret, druga zaś — odgarnia się tylko wodę. Reszta — to już same ryby. I to jakie ryby!

Bardzo tu są popularne kolorowe pocztówki, przedstawiające w mniejszym, lub większym stopniu, nieszkodliwą obydwo stronom rywalizację.

W ogóle pogody ducha możemy mieszkankom Marsylii śmiało pozazdrościć.

Nawet taki policjant, kierujący ruchem na ulicy Canebiere (najruchliwszej w Marsylii) rozśmieszony i ruchliwy, czynność swoją spełnia z humorem, na jakiego stać w tej sytuacji. Pateczka miga w esach — floresach, robi młynki poziome i pionowe, filuternie, a zachęcająco wskazując kierunek. Kiedy indziej, palec przy nosie grożący, ostrzega przyjaźnie, że noga za późno dotknęła hamulca.

Podpatrzyć Marsylię można jednak nie na Canebiere i promenade de la Corniche.

Za wiele tu różnorodnego gwaru i różnokolorowej skóry ludzkiej.

Wiedzieć. Oczywiście na tym tylko miejscu. Autor bowiem podjął się innego zadania, aniżeli opisywanie zwiedzanych krajów i miast w sposób, przyjęty w tego rodzaju opisach. Ze szczególnym uwzględnieniem strony krajoznawczej, fauny i flory, wody i nieba.

Marsylia, jak wiemy, jest miastem wielkim, kosmopolitycznym, drugim co do wielkości we Francji.

Mniej może wiemy, że między nią, a Paryżem trwa od wieków, cicha, zażarta rywalizacja. O co? O wszystko.

Notre Dame w Paryżu?

Proszę, jest i u nas w Marsylii.

Wieża Eiffla?

A jakże, — niech spróbuje stanąć w Marsylii. Mistral tutejszy, to nie wietrzyk paryski: zdmuchnąłby ją i zwinął, niby dziecinna zabawkę. Ho, ho!

Albo takie rybołówstwo.

W Paryżu — proszę państwa — idzie się nad Sekwanę i wyciąga się na wędkę kielbie i karaski.

U nas w Marsylii, zanurza się poprostu jedną ręką beret, druga zaś — odgarnia się tylko wodę. Reszta — to już same ryby. I to jakie ryby!

Bardzo tu są popularne kolorowe pocztówki, przedstawiające w mniejszym, lub większym stopniu, nieszkodliwą obydwo stronom rywalizację.

W ogóle pogody ducha możemy mieszkankom Marsylii śmiało pozazdrościć.

Nawet taki policjant, kierujący ruchem na ulicy Canebiere (najruchliwszej w Marsylii) rozśmieszony i ruchliwy, czynność swoją spełnia z humorem, na jakiego stać w tej sytuacji. Pateczka miga w esach — floresach, robi młynki poziome i pionowe, filuternie, a zachęcająco wskazując kierunek. Kiedy indziej, palec przy nosie grożący, ostrzega przyjaźnie, że noga za późno dotknęła hamulca.

Podpatrzyć Marsylię można jednak nie na Canebiere i promenade de la Corniche.

Za wiele tu różnorodnego gwaru i różnokolorowej skóry ludzkiej.

Wiedzieć. Oczywiście na tym tylko miejscu. Autor bowiem podjął się innego zadania, aniżeli opisywanie zwiedzanych krajów i miast w sposób, przyjęty w tego rodzaju opisach. Ze szczególnym uwzględnieniem strony krajoznawczej, fauny i flory, wody i nieba.

Marsylia, jak wiemy, jest miastem wielkim, kosmopolitycznym, drugim co do wielkości we Francji.

Mniej może wiemy, że między nią, a Paryżem trwa od wieków, cicha, zażarta rywalizacja. O co? O wszystko.

Notre Dame w Paryżu?

Proszę, jest i u nas w Marsylii.

Wieża Eiffla?

A jakże, — niech spróbuje stanąć w Marsylii. Mistral tutejszy, to nie wietrzyk paryski: zdmuchnąłby ją i zwinął, niby dziecinna zabawkę. Ho, ho!

Albo takie rybołówstwo.

W Paryżu — proszę państwa — idzie się nad Sekwanę i wyciąga się na wędkę kielbie i karaski.

U nas w Marsylii, zanurza się poprostu jedną ręką beret, druga zaś — odgarnia się tylko wodę. Reszta — to już same ryby. I to jakie ryby!

Bardzo tu są popularne kolorowe pocztówki, przedstawiające w mniejszym, lub większym stopniu, nieszkodliwą obydwo stronom rywalizację.

W ogóle pogody ducha możemy mieszkankom Marsylii śmiało pozazdrościć.

Nawet taki policjant, kierujący ruchem na ulicy Canebiere (najruchliwszej w Marsylii) rozśmieszony i ruchliwy, czynność swoją spełnia z humorem, na jakiego stać w tej sytuacji. Pateczka miga w esach — floresach, robi młynki poziome i pionowe, filuternie, a zachęcająco wskazując kierunek. Kiedy indziej, palec przy nosie grożący, ostrzega przyjaźnie, że noga za późno dotknęła hamulca.

Podpatrzyć Marsylię można jednak nie na Canebiere i promenade de la Corniche.

Za wiele tu różnorodnego gwaru i różnokolorowej skóry ludzkiej.

Wiedzieć. Oczywiście na tym tylko miejscu. Autor bowiem podjął się innego zadania, aniżeli opisywanie zwiedzanych krajów i miast w sposób, przyjęty w tego rodzaju opisach. Ze szczególnym uwzględnieniem strony krajoznawczej, fauny i flory, wody i nieba.

Marsylia, jak wiemy, jest miastem wielkim, kosmopolitycznym, drugim co do wielkości we Francji.

Mniej może wiemy, że między nią, a Paryżem trwa od wieków, cicha, zażarta rywalizacja. O co? O wszystko.

Notre Dame w Paryżu?

Proszę, jest i u nas w Marsylii.

Wieża Eiffla?

A jakże, — niech spróbuje stanąć w Marsylii. Mistral tutejszy, to nie wietrzyk paryski: zdmuchnąłby ją i zwinął, niby dziecinna zabawkę. Ho, ho!

Albo takie rybołówstwo.

W Paryżu — proszę państwa — idzie się nad Sekwanę i wyciąga się na wędkę kielbie i karaski.

U nas w Marsylii, zanurza się poprostu jedną ręką beret, druga zaś — odgarnia się tylko wodę. Reszta — to już same ryby. I to jakie ryby!

Bardzo tu są popularne kolorowe pocztówki, przedstawiające w mniejszym, lub większym stopniu, nieszkodliwą obydwo stronom rywalizację.

W ogóle pogody ducha możemy mieszkankom Marsylii śmiało pozazdrościć.

Nawet taki policjant, kierujący ruchem na ulicy Canebiere (najruchliwszej w Marsylii) rozśmieszony i ruchliwy, czynność swoją spełnia z humorem, na jakiego stać w tej sytuacji. Pateczka miga w esach — floresach, robi młynki poziome i pionowe, filuternie, a zachęcająco wskazując kierunek. Kiedy indziej, palec przy nosie grożący, ostrzega przyjaźnie, że noga za późno dotknęła hamulca.

Podpatrzyć Marsylię można jednak nie na Canebiere i promenade de la Corniche.

Za wiele tu różnorodnego gwaru i różnokolorowej skóry ludzkiej.

Wiedzieć. Oczywiście na tym tylko miejscu. Autor bowiem podjął się innego zadania, aniżeli opisywanie zwiedzanych krajów i miast w sposób, przyjęty w tego rodzaju opisach. Ze szczególnym uwzględnieniem strony krajoznawczej, fauny i flory, wody i nieba.

Marsylia, jak wiemy, jest miastem wielkim, kosmopolitycznym, drugim co do wielkości we Francji.

Mniej może wiemy, że między nią, a Paryżem trwa od wieków, cicha, zażarta rywalizacja. O co? O wszystko.

Notre Dame w Paryżu?

Proszę, jest i u nas w Marsylii.

Wieża Eiffla?

A jakże, — niech spróbuje stanąć w Marsylii. Mistral tutejszy, to nie wietrzyk paryski: zdmuchnąłby ją i zwinął, niby dziecinna zabawkę. Ho, ho!

Albo takie rybołówstwo.

W Paryżu — proszę państwa — idzie się nad Sekwanę i wyciąga się na wędkę kielbie i karaski.

U nas w Marsylii, zanurza się poprostu jedną ręką beret, druga zaś — odgarnia się tylko wodę. Reszta — to już same ryby. I to jakie ryby!

Bardzo tu są popularne kolorowe pocztówki, przedstawiające w mniejszym, lub większym stopniu, nieszkodliwą obydwo stronom rywalizację.

W ogóle pogody ducha możemy mieszkankom Marsylii śmiało pozazdrościć.

Nawet taki policjant, kierujący ruchem na ulicy Canebiere (najruchliwszej w Marsylii) rozśmieszony i ruchliwy, czynność swoją spełnia z humorem, na jakiego stać w tej sytuacji. Pateczka miga w esach — floresach, robi młynki poziome i pionowe, filuternie, a zachęcająco wskazując kierunek. Kiedy indziej, palec przy nosie grożący, ostrzega przyjaźnie, że noga za późno dotknęła hamulca.

Podpatrzyć Marsylię można jednak nie na Canebiere i promenade de la Corniche.

Za wiele tu różnorodnego gwaru i różnokolorowej skóry ludzkiej.

Wiedzieć. Oczywiście na tym tylko miejscu. Autor bowiem podjął się innego zadania, aniżeli opisywanie zwiedzanych krajów i miast w sposób, przyjęty w tego rodzaju opisach. Ze szczególnym uwzględnieniem strony krajoznawczej, fauny i flory, wody i nieba.

Marsylia, jak wiemy, jest miastem wielkim, kosmopolitycznym, drugim co do wielkości we Francji.

Mniej może wiemy, że między nią, a Paryżem trwa od wieków, cicha, zażarta rywalizacja. O co? O wszystko.

Notre Dame w Paryżu?

Proszę, jest i u nas w Marsylii.

Wieża Eiffla?

A jakże, — niech spróbuje stanąć w Marsylii. Mistral tutejszy, to nie wietrzyk paryski: zdmuchnąłby ją i zwinął, niby dziecinna zabawkę. Ho, ho!